Nr. 18 We Lwowie, 16 września 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W Karakumskiej pustyni

Dokończenie

Dziwnie nieswojo było mi w tem strasznem pustkowiu, i dziwnie uczułem się w niem odosobniony od świata i ludzi. Myśl pobiegła przez morza, góry i lasy do ukochanego kraju rodzinnego, szarpnęła mną tęsknota za drogiemi tam pozostałemi osobami.

W pustyni coraz chłodniej i straszniej się robiło. Wiatr zcichł zupełnie, knieja zmartwiała i zastygła, tylko w powietrzu chmury ciętych komarów brzęczały złowieszczo. Nagle z mej zadumy zbudził mnie niewyraźny jakiś pomruk, jak stęk podziemny, dochodzący z niedalekiej doliny, przerzniętej leżącą przedemną szeroką polaną. Zerwałem się na równe nogi, myśl o mogącym zjawić się tygrysie ścięła mi krew w żyłach. Pierwszą mą myślą było, dać drapaka za Kerbełajem, lecz nierozsądna myśl jeszcze prędzej znikła z mej głowy, jak w niej powstała. Przecież nie byłem nowicjuszem w spotkaniu się ze srogim zwierzem, a choć znalazłem się tu w wyjątkowem położeniu, odosobniony zupełnie i na żadną pomoc postronną liczyć nie mogłem, ufałem mej broni, ręce i oku. Przekonania te przywróciły mi równowagę i krew zimną, tak myśliwemu w podobnych chwilach potrzebną. Zamieniwszy się w istny słup martwy, stałem z oczyma przed sibie wlepionemi i naprężonym słuchem. W chwili tej tuż bardzo blisko przedemną rozległ się wyraźny głos potężny, jakby kocie parsknięcie, w tej samej chwili mu odpowiedziało i w tęgich susach wybiegła na polanę pantera. Biegła w skośnym odemnie kierunku na 30 kroków, odsłaniając mi lewy bok doskonale. Palnąłem z gładkiej lufy kulą ołowiową, rezerwując sztucer i drugą lufę, loftkami nabitą, na krytyczną chwilę. Gęsty dym z prochu czarnego w cichem i wilgotnem powietrzu, jak murem zasłonił mi panterę i widok na polanę. Skoczyłem więc w bok, by się przekonać, co ze zwierzem po strzale się stało, gdy o 15 kroków ujrzałem przed sobą rozjuszoną bestję atakującą mnie wprost. Jeżeli ją chybię, przepadłem, za sekundę mieć ją będę na mym karku, przeniknęła mi myśl po głowie, pociągnąłem za kurek sztucera i strzał rozdarł powietrze. W skoku, jak gromem rażona, padła na ziemię, lecz w sekundę była już na nogach i do nowego skoku podbierała je pod siebie. Nie odejmowałem fuzji od ramienia, strzeliłem loftkami między ślepie, jak do lecącego ptaka. Z błyskawiczną szybkością wsunąłem nowe naboje do luf w oczekiwaniu nowego ataku, zwierz więcej się nie ruszał z miejsca. Teraz dysząc ciężko, jak po wejściu na najwyższą górę, trzymałem broń gotową w jednej ręce, drugą ocierałem lejący się pot z czoła i przyciskałem skaczące, jak oszalałe, w piersi serce. Po kilku minutach podszedłem do leżącego zwierza, dogorywał. Straszne ślepia ostatnie dzikie rzucały wejrzenia, muskuły kurczyły się i drgały, pazury i ogon poruszały się niespokojnie. Była to piękna

stara samica o pięknem ubarwieniu skóry. Domyślając się ze słyszanych przedtem głosów, iż gdzieś w pobliżu musi mieć swe dzieci — poszedłem w ową dolinę na ich poszukiwanie. Przeszedłszy zaledwie kilkanaście kroków, zamarłem z przerażenia. W wysokiej trawie tuż przedemną leżał drugi zwierz przyczajony, jak mi się zdawało, do skoku. Nie czekając napadu, strzeliłem mu w łeb dum-dum. Zwierz nie ruszył się. Nie spuszczając oka z niego, stałem na drżących nogach czas długi, a gdy nie dawał więcej znaku życia, zbliżyłem się do niego. Był to samiec niemniej piękny od swej towarzyszki, zabitej pierwszym strzałem. Kula stożkowa przeszła przez płuca na wylot, kładąc go trupem. Samica zdublowana, śmiertelne otrzymała rany, kulą w piersi, loftkami w łeb i szyję. Były to pierwsze srogie bestje, zabite bez pomocy obcej w mem życiu, z czego czułem się dumnym. Użycie patronów z prochem czarnym o mało mnie nie zgubiło, a mimo to muszę go i nadal używać, mając tylko jedną lufę sztucerową do bezdymnego prochu i kul dum-dum 9 mm.

Pierwszego mego tygrysa zdobyłem w sprzyjających mi nader warunkach i zupełnie nieoczekiwanie. Polowałem nad pograniczną rzeką z Afganistanem i Persją „Geri-Rud" — biegnącą prawie paralelnie z koleją z Merwu do Heratu wiodącą. Połać kraju między Geri-Rud, a Heracką koleją leżąca, z południa zasłonięta górami tworzy rozległą dolinę z masą puszcz błotnych, kniei oczeretowych, w których mnóstwo dzików przebywa. By użyć polowania na nie, tam się wybrałem na czas dłuższy. W dżdżysty, pochmurny dzień ruszyłem w drogę i po dwóch dniach podróży z wielkiemi przygodami przebytej, stanąłem na więcej wzniosłem wzgórzu, u podnóża którego zaczynały się owe dzicze knieje. Pozostawiając Turkmenowi rozbicie i urządzenie obozu, wziąłem dryling na plecy i w towarzystwie doskonałego gończaka-kundysa i niezłego przytem aportera wodnego, wyszedłem na pobliskie łęgi. Słońce zaledwie dobiegało do połowy swej drogi, gdy miałem przy torbie kilka dubeltów, kaczek i kulona i zawróciłem ku domowi, a raczej do obozu. Okrążając jezioro, przejść musiałem około ściany oczeretowej kniei, gdzie na grzązkim gruncie, przeciąłem świeże ślady stada dzików. Mój „Murry" zwietrzył je i z cichym piskiem pobiegł za niemi w oczerety. Zaczęła się gonitwa nie na żarty. Nabiłem więc lufy kulami, obrałem cokolwiek wynioślejsze nad doliną miejsce, skąd mogłem śledzić za psim głosem. Byłem dobrze zamaskowany krzewami i stałem na przełęczy dwóch kniei, rozdzielonych długą, czystą polaną, głęboko w knieje wrzynającą się. Pies gonił zawzięcie, wyparł z kniei stado na polanę, sam, nosem przy ziemi, pokazał się na niej i znów znikło całe towarzystwo w gąszczach wysokich. Murry kilkakrotnie zawracał stado w tę lub inną stronę, niekiedy nawet pod samą ścianę przeciwległej kniei je podprowadzał, lecz na polanę wyjść więcej nie chciało. Znudzony bezowocnem gonieniem, sięgnąłem po świstawkę do kieszeni, lecz jeszcze do ust jej podnieść nie zdołałem, gdy jak z pod ziemi, cicho bez najmniejszego szelestu, zjawił się przedemną w wysokiej trawie ogromny tygrys. Stał z podniesioną, jak wyżeł w stójce przednią nogą, tyłem do mnie zwrócony, nasłuchując psiego ujadania. Widok stojącej zaledwie o 40 kroków takiej srogiej i ogromnej bestji, zapewne najwytrawniejszego myśliwego wytrąciłby z równowagi. Wstrząsnął mną dreszcz zimny, łydki zadygotały, w skroniach zaszumiało, a włosy czapkę na głowie podniosły. — Stał tu król puszczy z łbem do góry wzniesionym i z nastawionemi uszami, wyciągnięty na całą długość swego ogromnego cielska, błyszczący wspaniałem futrem w blasku słonecznym. — Widzę straszne, drgające muskuły, niespokojnie bijący go ogon po bokach i zjeżoną sierść na grzbiecie, szerokie płowe bokobrody. Opuścił nogę, przysiadł na zadzie, wsparł się na przednich łapach i leniwie się przeciągnął. Wtem głos „Murrego" pod samą ścianą zapiszczał, zwierz zerwał się i odsłonił mi swój grzbiet szeroki. Trzask suchego strzału zagłuszył ryk ranionego zwierza, któremu kula dum-dum strzaskawszy grzbiet, jak gwoździem do ziemi go przygwoździła. Zwierz z rykiem stara się podnieść, rwie z pod siebie kępy trawy, grudy błota rzuca wokoło — wreszcie pada na grzbiet — kurczy i rozgina ogromne zadnie łapy, jak śmiertelnie trafiony zając, daje jeszcze kilka słabych ruchów, podrzuca całem ciałem i zdycha. Ani na chwilę nie spuszczam z niego oka, nie ruszam się z miejsca, trzymając broń gotową.

Murry przybiegłszy na mój strzał, natyka się na tygrysa i z wielkiego przestrachu, z podwiniętym pod siebie ogonem biegnie mi pod nogi najeżony srodze. Zrobiłem kilka kroków naprzód i strzeliłem w piersi tygrysowi, a widząc, że się poruszył, zaszedłem z boku chcąc strzelić mu za ucho. W tej chwili mnie spostrzegł, podniós łeb, rozwarł straszną paszczę, stulił uszy i wydał ryk przeraźliwy, silił się podnieść jeszcze. Strzeliłem mu za ucho powtórnie. Drgnął całem cielskiem, sierść zjeżyła się, z paszczy obfita buchnęła piana krwawa, kilka drgnień łapami i ogonem i zamarł.

Nabiłem wystrzelone lufy i długo jeszcze patrzyłem na to olbrzymie cielsko bez ruchu teraz przedemną leżące, lecz zupełnie blisko nie śmiałem się zbliżyć, jeszcze zielone ślepia dotąd nie zagasłe ciskały ostatnie spojrzenie wściekłości i okrucieństwa. Nawet mój Murry obchodził go zdaleka ze strachem. Zdobycz nie była mała. Tygrys mierzył z ogonem 4½ arszyna i według zdania Turkmenów, był niezwykle wielkim i pięknym. Gdyby on był wyszedł poza mną, zanim byłbym go spostrzegł, siedziałby już na mym karku i dziś me kości pruchniałyby gdzieś w dżungli. Ta zdobycz odstraszyła mnie od dalszych tu polowań i w kilka dni potem, mijałem Merw-Aschabud i t. d.

Muszę na zakończenie jeszcze wspomnieć o pewnym myśliwym, Azjacie, który w dwóch sezonach, upolował na 8000 strzałów 5000 sztuk różnych stworzeń, a mianowicie: 2 pelikany, 38 gęsi, 1171 kaczek, 162 kulonów, 44 dropi, 37 pardw, 5 zajęcy, 70 bażantów, 1282 bekasów, 725 kuropatw, 799 dubeltów, kurek nurów, 76 drapieżnych — 1 tygrysa, 1 panterę, 1 barsa, 7 dżejranów, 2 saigi i 1 koziorożca.

ADAM RZEWUSKI

Mistrze - wabiarze

I.

Zaiste, pośród tak zżytych z przyrodą całej konfraterni ludzi leśnych — gajowych, czy kłusowników, do pni olchowych frapująco podobnych, a równych którym napróżnobyś szukał Czytelniku najmilszy w innych oprócz Polesia starego dzielnicach — nawet wśród tej konstelacji — trafiają się nieraz osobnicy, o zdolnościach wprost zdumiewających!

Są to prawdziwi „Meistersingery“ — w artyźmie podchwycenia najsubtelniejszych odcieni przy odtwarzaniu dźwięków ptasich, oraz zwierza wszelkiego.

Umieją ci fauni leśni grać na nerwach fauny naszej zawsze, a szczególnie podczas pory godowej — kierując nią — naginając do swej woli i podprowadzając zdradziecko pod strzał czyhającego nań myśliwca!... Właściwości te stanowią integralną niemal część istoty, każdego prawie rzetelnego poleskiego gajowego lub kłusownika. Zdarzają się coprawda rzadkie unikaty — co nie zważając na zamieszkanie w lesie latami całemi, nawet w charakterze leśników, zielonego pojęcia jednakże nie mają o otaczającem ich życiu puszczy i moczarów. — W mej praktyce napotkałem takiego, który twierdził, że nigdy słonki na ciągu nie widział.

Oceniając doskonałe warunki „pryczyny“ po miastowemu, danego terenu — stanąłem tam mimo to wieczorem — zabiłem kilka miłych długodziobów! A to co? — Z tryumfem pokazując, zapytałem pseudo leśnego mieszkańca — „A panoczku, takich ptaszok to nad mojej chatoj, letaje szczo weczir jak komariw (komarów) — ja dumał (myślał) szczo ce nocznyje ćmy“... — Tableau!...

Lecz podobne typy stanowią niesłychanie rzadkie wyjątki. Trafić się mogą w rejonach, w których właściciel sam nie jest żadnym myśliwym — goście zaś z pod znaku św. Huberta nie bywają wcale — okoliczni kłosownicy hulają sobie swobodnie i samowystarczalnie oczywiście — na łowiectwo zaś, jako „quantité négligeable“ nikt najmniejszej uwagi nie zwraca. To nie „metry“ drzewa, nie „podkłady“, nie „kubiki“ „plansony“ i inne w brzęczącą monetę mogące być zamienione „realności“, więc rzecz bardzo nie ciekawa! oczywiście!... Jestto zwykła opinja Imć panów podobnych obszarników, jakoteż przeróżnych Natansohnów, Cybulbergierów i innych Hiszpanów — przerabiającch w dolary materjał leśny z świętych terenów puszczańskich!...

Lecz zazwyczaj każdy, przeciętny nawet Poleszuk — urodzony dzieckiem Natury — tak ściśle z rodzimą przyrodą spojony — tak rozumiejący każdy dreszcz, każdy odgłos zwierza czy ptaka, że poniekąd stanowi tylko cząstkę tego kosmosu przestworza! Odczuwa on każdy pomruk, każdą groźbę — jakoteż każdy „uśmiech“ tej Uniwersalnej Matki naszej! — najwyższego daru, do-

---

ALBERT MNISZEK

Jurek i Basia

Do zachodu było jeszcze daleko, ale kula słoneczna pogłębiała się już w konarach odwiecznych dębów, roztapiała się w nich złotą mozajką, spływała w dół po pniach i gasła w zmroku obejmującym spody drzew i bujne liście paproci. Bór stężały w lipcowym upale cucił się ze snu chłodem nadchodzącego wieczoru a złote listki drzew nucić poczęły cichą piosenkę w przeczuciu rozkoszy, jaką da im niedługo ożywcza rosa, co z pierwszych gwiazd spadnie na spragnioną ziemię. Od starego boru padał cień na zieloną łąkę, coraz to się szerzej na niej rozścielał, aż przeszedł do drugiego jej końca, gdzie poczynał się gęsty aksamitny zagajnik kultur świerkowych.

Wśród starych dębów w klombie paproci, coś się poruszyło i wkrótce nad nim zamajaczyło rudo czerwoną plamą. To Jurek wstał ze snu. Zbudził go przed chwilą szmer cichych kroków od łąki i echo ludzkiej rozmowy. Człowiek dla Jurka był zagadką. W swym sarnim mózgu silił się daremnie nad jej rozwiązaniem. Unikać starał się go instynktownie, miał przed nim respekt, ale go się nie bał, przynajmniej nie zawsze. Zaciekawiał go i interesował bardzo. W człowieku odróżniał kilka jego rodzajów; wieśniaka kradnącego drzewo znał doskonale, baby i dziewczęta zbierające grzyby i jagody, tych nie bał się wcale, natomiast przed cicho skradającymi się samotnikami, miał się na baczności. Znał osobiście wszystkich strażników leśnych i darzył nawet sympatją. Nie dalej, jak ubiegłej zimy złapał się w nastawiony wnyk i gdy już źle z nim było bardzo, przyszedł mu na ratunek jeden z gajowych, uwolnił go od zdradzieckiego drutu, poklepał i puścił wolno. Widywał Jurek, jak przywozili karmę jemu i innej zwierzynie wśród głębokich śniegów, jak ją ratowali od głodu i zimna. Ale też o uszy jego odbijał się nieraz grzmot strzału, widywał swych krewnych zabijanych i ranionych tym hukiem a zawsze wtedy człowiek znajdował się gdzieś w pobliżu. W tej chwili jednak Jurek nie zastanawiał się wcale nad problemem stosunku człowieka do sarniego rodu, ani też tak bardzo nie interesował się ludźmi, których przed chwilą słyszał idących krajem łąki o kilka kroków od siebie. Myśl zajętą miał czem innem. Był srodze zakochany! Przed kilku dniami spotkał młódkę, sierotkę, której matkę zabił grzmot strzału jakiegoś samotnego człowieka podczas księżycowej nocy, a której braciszka, potężnem uderzeniem rogów daleko w świat przepędził. Ta powabna dzieweczka, której Basia było na imię, owładnęła całem jego jestestwem; spędził z nią już kilka rozkosznych, upajających chwil, wziął z nią bowiem ślub przed wielkim ołtarzem przyrody. Panował nad nią niepodzielnie; wszak był wszechwładnym panem sarniego rodu w tej okolicy; nie miał rywali. — Wszyscy pierzchali na jego widok

droci Boga!... Dusz Pocieszycielki!... Przyrody odwiecznej!...

Każdy więc prawie z owych Hryhorów, Nitymów, Wasylów, czy innych Owsijów — doskonale umie wabić kaczorki — „kwoktać pod cieciorkę" lub „szuszykać" jako kogut w budce, czy „przyczajony za chwojką" — na toku „grać na nerwach" czarnego rycerza wiosny!:.. Tak jest niezawodnie!... Ludzie ci należą jednak do zwykłych działaczy sceny pustkowi leśnych i rojstów tajemniczych! Są to artyści coprawda — lecz „minorum gentium"... Do wirtuozów zaś, szczyty artyzmu osiągających, należą — dziś prawie wymierający z powodu braku objektów dla studjów — wabiacze łosi (może odrodzą się w łowiskach Dawidgródka i Poleskiego Towarzystwa) — oraz niektórzy z wybrańców tego zawodu!

O tych więc „unikatach" mistrzach urodzonych z krwi i pokoleń całych „tychołazów" (kłusowników) — z mroków puszcz i trzęsawisk Polesia! — moja naracja płynąć będzie.

II.

Nigdy nie zapomnę, jak to bywało stojąc z sławetnym Antonem Lachejem z Libiszczyc na ciągach słonek, z początku wierzyć nie chciałem, kiedy to ów gnom leśny — bezapelacyjnie stwierdził „tak panoczku — treba, żeby kużda słonka od razu „pieknie" zatrzymała się w powietrzu — kiedy ja „pod samkę" (imitując samiczkę) głos dam"...

Pierwszy seans słonkowy, dobitnie mię przekonał, że tak jest w istocie!... Trafiliśmy na cichy, cudny wieczór! Słonki ciągnęły wybornie! Jak tylko ukazała się pierwsza „dame au long bec" chrapiąc i chwiejnym lotem nad smugą olszniaku i brzeziny profilując się — słyszę! — pisk jakiś rozchodzi się za memi plecami. Obserwuję jak rozkochany, biedny Romeo po pierwszych już „ćwirknięciach" — rzekłbyś — „przygwożdżon" w powietrzu został!... Na podobiznę postułki (tininculus), wypatrującej myszkę w polu, albo unoszącego się pod niebiosa skowronka z pieśnią — począł na miejscu trzepotać się. Padł strzał! Szmatką bez życia wali się u mych nóg śliczny „scolopax"... Chwila!... aż dwie sylwetki ukazują się w pastelowej koloryzacji wieczoru! Jedna z nich przoduje. Oczywiście piękna Julja, bohdanka słończego serca!... Rozkwita na ustach Lacheja nowy szereg pisków. O niestałości zapałów erotycznych... nietylko u ludzi!... Niezdrowa ciekawość nowych stosunków miłosnych — wszechpotężnie króluje... wśród słonek też niestety. Samiczka, albowiem widzę „ciągnie" spokojnie dalej swym szlakiem — podczas gdy samczyk zatrzymuje się, wypatrując nową dla swych zapałów syrenę. Odbija się na różowem tle zachodu długi dziób — główka w bok zwieszona, — ogromne oczy szukają tajemniczą nową panią gorących pożądań!... Znowu flinta zagrała, i... już rozamorowane biedactwo krwią swą broczy zwiędłe paprocie zeszłoroczne, miast łoża rozkoszy — łoże śmierci znajdując!... Już cudne oczęta w mgłę zaświatów na wieki odchodzą. Mimowoli żal ściska serce! Dość już, dość tej

---

w strachu przed pchnięciem jego rogów. Wspaniały, walny szóstak o grubych, długich, ostrych i wspaniale uperlonych rożkach, był wyrazem siły, zdrowia i rozkoszy życia, nie miał sobie równego.

Dzisiaj rano spłoszyli miłośną parę jacyś ludzie. Baśka wskoczyła do świerkowego zagajnika z tamtej strony łąki, on ukrył się w dębinie i zmęczony, ległszy w klombie paproci, usnął zaraz głęboko. Teraz wstał, wstrząsnął się kilka razy i pod wiatr idąc, starał się odnaleźć woń ukochanej. Wyglądnął na łąkę tu i tam, wracał napowrót w zwarty bór, nadaremnie, nadstawiał łyżki, czy nie usłyszy jej głosu. Koło niego przemknęła w galopie miłosna jakaś para. W innym wypadku rozbiłby bez wahania ich idyllę. Teraz jednak żadna niewiasta nie czyniła na nim wrażenia. Kochał i pożądał tylko jednej Baśki! Dziwił się i niepokoił, że nie odezwała się dotąd i nie wyszła na łąkę.

Nagle, wydało mu się, że usłyszał jej wab. Tak, teraz powtórzył się wyraźnie wab żądnej miłości siuty, pi pi pi, szedł głos przez łąkę od klombu starych olch stojących w środku łąki. Jurek wybiegł na nią i prosto galopem zdążał za wabiącym głosem. Wtem zdębiał, stanął jak posąg! Z miejsca, skąd przed chwilą dochodził go wab siuty, usłyszał przyciszone słowa ludzkiej rozmowy, a równocześnie wysoko nad ziemią, wśród konarów olch zamajaczyła mu czarna na tle nieba, poruszająca się sylwetka ludzka. W tejże samej chwili wybiegła tuż za nim na łąkę i Basia. Zwrot i galop w tył było dziełem jednej sekundy dla śmigłych cewek obojga kochanków! W tejże sekundzie huk wystrzału wstrząsnął jego nerwami i coś świszczącego przeleciało mu nad łyżkami; podwoił więc biegu i jak szalony wpadł w głąb zbawczego boru. Był ocalony! Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które mu przed chwilą groziło, niewiadomo, faktem jest jednak, że za chwilę przystanął i wolno już przy boku swej bogdanki, pomknął w dalszą partję dębiny. Przystanął znów, kilka razy ryknął, echo jego głosu powtórzył bór, a po borze powtórzyły go sarny, tak, że przez dobrą chwilę żył las tym głośnym zwierzęcym rozgwarem.

Jakżeż mi mogłaś zrobić tak wielką przykrość Basiu! Spłoszyć najpiękniejszego rogacza, jakiego miałem na strzał w życiu!

Jurku! Nie gniewaj się, żal mi było tak pięknego stworzenia! Jakiż on był wspaniały, gdy wybiegł na łąkę! żal mi było mu zniweczyć szczęście tak krótkie i jej... Nie gniewaj się Jurku!

Nie wezmę cię nigdy więcej na polowanie!

Daruj mi, Jurek, to przewinienie, tę burzę, którą wywołałam drażliwością mego kobiecego serca, żal mi się nagle zrobiło wspaniałego zwierzęcia, nie chciałam, byś odbierał mu życie... i jej mi się tak żal zrobiło... co by się ze mną dziś stało, gdyby mi ciebie nagle zabrakło!...

zdradzieckiej metody!... Lecz duch silny — ale ciało mdłe. Jeszcze po tej parze „mea culpa“ aż całych cztery sztuki słonek rzędowych z wyżyn spuściłem. Następnie już tylko obserwowałem, delektując się tą leśną głosową manipulacją — zupełnie platonicznie. Mogłem conajmniej tuzin i więcej upolować tym sposobem na pewno, w ów wieczór pamiętny — tak cichy i łagodny...

Anton, przekonawszy się, że rzeczywiście wszystkie jego artyzmu pełne wysiłki są na nic — z poleską psychologją — odrazu stracił cały swój animusz.

„Panoczku! durno wabić nie warto — koli ne strelajete — a możnaby i dwa desiatka słonok wziąć — a tak sobi dla zabawy, nie warto!...“ Więc siedząc na pieńku, paliłem swe cygaro i... modliłem się w duszy, dziękując Stwórcy naszemu za cały skarbiec otaczających „śliczności“! Cichy i piękny był ów wieczór bajeczny! Zasypiały w ukojeniu wszelkie bole i ciernie przeszłości! — „A słonki tiahnut‘ jak po sznurku — pozwolte — zawabiu!“ — Ne treba Anton, dowolno (dosyć) !... Wzrok pełen pogardy Antona pada na moją osobę. Tak dobitnie odczuwam zradzające się w mózgownicy „leśnego człowieka“ myśli. — „Nuż i durnyja (głupi) bywajut‘ ci Pany!... Za słonkami aż z Warszawy przyjeżdżają — słonki są! — nie strzelają!“

Rozkoszny był późniejszy powrót do domu — kurzenia — pod rozgwieżdżonem welonem niebios!... słodkim odpoczynek na posłaniu ze świerczyny! — Nirwaną niebycia podczas, gdy automatycznie fale ozonu leśnego, biedne, spracowane miastem złem, płuca pieściły, a skromny posiłek, dobry kielich „wudjoli“ — hart nowy wlał już w żyły! — „Panoczku, wesełyki (żórawie) hola dajut‘ — pora!“ — Więc hejda! w drogę!... Nowa karta, nowych, niezapomnianych wrażeń łowieckich, powoli się przewraca.

III.

Ranek, też udał się doskonale! W porę podskoczywszy do królewskiego ptaka, „pod pieśń“ strzelony zsunął się okazały głuszec w gotyku wysokopiennego lasu, we mchy i wrzosy głębokie. A puszcza milczała... jakby grozą tego zjawiska przejęta!... Tryumf radości duszę myśliwską natenczas zalewał. — „Nu panoczku, hłuszcia za plecy i... chadzim jeszcze na błocie posłuchać! Treba szczob kotoryś zagrał“.

Ostrówek, na którym osadzony był „śpiewak“ otoczony był zarośniętemi brzeźniakami i karłowatą sośniną rozległem błotem. Szliśmy przez nie „trybem“ do domu — kurzenia!

Już się zupełnie rozwidniło... Dla odpoczynku usiedliśmy na zwalonej kłodzie... Niebo wybitnie zaróżowiało. Jak zwykle przed wschodem życiodajnego słońca, zamilkły cietrzewie na pobliskich tokowiskach. Paląc swe nieodmienne cygaro, pogrążyłem się w marzeniach.. Fragmenty dawnych przeżyć — sylwetki osób drogich na zawsze odeszłych — osobiste przejścia wojny europejskiej — koszmary „bezkrwawej“ rewolucji rosyjskiej!... Czegóż tam nie było. — W tem!... słyszymy!... na ziemi,

---

I stała przed nim blisko, pierś przy piersi na pomoście czatowni, że czuł jej oddech na swej twarzy, z oczami w których zabłysły łzy, pełna słodyczy, pełna oddania i kuszących obietnic.

Był w niej niewysłowiony urok kobiecości, wdzięk polnej róży, gdy listki do wieczornej rosy rozchyla. Jurek zapomniał o doznanym zawodzie myśliwskim, przycisnął do siebie uroczą dziewczynę, i usta młodych złączyły się po raz pierwszy w długim bez końca pocałunku!

Potężna pani Cypru! Przed potęgą Twego tchnienia, wszystko inne schodzi z drogi, nawet dumna Arthemis uchyla przed Tobą czoła!

W piękny, jak z bajki czarownej wysnuty, wieczór lipcowy, wśród pól wijącą się drogą szli młodzi ku dworowi. Niebo zabłysło miljonami gwiazd, mleczna droga rozścieliła swą wstęgę w szafirowym aksamicie eteru, dysk księżyca wzbijał się nad dalekiemi borami i rzucał poświatę na ścierniska żytnie, na złote łany pszenic kłosem ciężarnych, na łąki pokryte kwiecia kobiercem. I cisza była i szczęście jakieś bezbrzeżne rozścielało się mgłą srebrną po ziemi. Słychać było tylko brzęk nocnych owadów, ksykanie konika polnego i rytmiczne skrzypienie chróściela.

O czem mówili ze sobą młodzi, nie wiem; pewnie o bliskiem swem szczęściu, może tkali na czarownem krośnie młodzieńczej fantazji nieziszczalne marzenia! Podsłuchał ich tylko wietrzyk, co od zachodu przyleciał i figlarz niósł ich słowa dalej, powtórzył je motylom na kwiatach koniczyn śpiącym i leśnym listkom, a te gaduły wyszeptały je jedne drugim, aż zaszumiał cały bór pieśnią czarownej energji, co każe rokrocznie zielenić się ziemi, kwiatom kwitnąć, ptakom śpiewać, robaczkom świecić w noc świętojańską.

Nazajutrz leśniczy przywiózł do dworu, wspaniałego, ubitego do dnia przez kłusownika rogacza, którego mu gajowi odebrali. Jurek poznał go odrazu, jako tego, którego mu narzeczona na czatowni wczoraj spłoszyła, ale dalekim już był od czynienia jej wymówek...

Tegoż samego dnia rozeszła się po wsi wiadomość o zarządzonej powszechnej mobilizacji.

Rozpętała się nagle burza nad światem, jakiej nie znały dzieje. Ślub młodych odłożono na czas nieograniczony.

Jurek padł śmiercią walecznych w sierpniu tegoż samego roku pod Zborowem.

Na tym tu bożym świecie, dziwnie się czasem plecie, powiedział słusznie poeta!

Nad Polską potrójnie w kajdany zakutą, z łun pożarów miast i wsi, z oparów krwi za cudze sprawy przelanej, z morza łez wypłakanych, świtać poczynała jutrznia wolności.

---

na tokowisku klapać poczyna i... grać — głuszec! Drugi gdzieś się odzywa!... Schodzą się dwaj rywale!... Dolatuje „buczenie" rzekłbyś indorów — następnie bicie się roznamiętnionych trubadurów!... Słuchając, delektuję się. O jakie kroków sto, „zaklapał" też na ziemi trzeci rycerz, poza nami w tyle.

— „Panoczku! podwabim go".

— Ależ zwarjowałeś Antek!...

Chwila!... i o dwa kroki odemnie słychać „skrzekotanie" — później „klapanie" — ale charakteru „kreacji" muzykalnej chyba, — przenigdy marnego naśladownictwa! Odpowiada na nie z mroków moczarnika, autentyczny „urogallus" — ale już znacznie bliżej. Obracam się zaciekawiony w kierunku dźwięków. Wysłuchuję całą symfonję mistrzowskich „cieniowań" głuszcowych Antona, w swych rozmowach z tajemniczym konkurentem. Żaden chyba kompozytor muzyczny tak plastycznie nie mygłby oddać całą gamę dynamiki śpiewu — jak ten szary chłop poleski... Pierwiastki zdumienia, gniewu, wściekłości, aż perlą się w tej dźwięcznej kaskadzie!... Od czasu do czasu, pauza!... Jęk głuszycy... lubieżne, pełne obietnic jej kwoktanie!... Znów gra koguta! To już ponad siły naszego bohatera! — Nie wytrzymuje dłużej — zbliża się szybko do nas — wali z szybkością parowozu! ...Ku źródłu upojeń i rozkoszy!... Już znajduje się tylko na jakie pięćdziesiąt kroków, „przyczajony" wśród traw i „koczek" bufiastych!... Staram się go wypatrzyć chciwem, myśliwskiem okiem.

Raptem!... w prawo — o kilka metrów „podrywa się" z ziemi, widocznie „il n'en peut plus" — zakuty w zielony pancerz wspaniały okaz!... Przedemną leży polanka na błocie. Po środku widnieje wyższa od innych sosenka!... Pewien jestem, że jej nie ominie, że „zaczepi się" na tem drzewie. Że musi tak się stać i że na pewno zaśpiewa! Nie strzelam więc naturalnie do przeciągającego, jak żywy europlan, nad głową ślicznego ptaka. Zanadto doświadczonym „głuchaszem" już jestem — rozumię najsubtelniejsze manewry tokowe!... Tak też się i staje... jak w zegarku. — Na czubku sosny usadowiwszy się — momentalnie roztwiera wachlarz — głowa do góry i... cudna pieśń płynie nieprzerwaną strugą! — W blaskach słonecznych promieni — zieleń piersi lśni, gdyby szmaragdy — biel podskrzydeł odbija się na czarnem tle sylwetki — modre tony szyi zlewają się z bronzem górnego upierzenia!... Widok zaiste z bajki — feeryczny — lecz... odległość tylko dziesięciu kroków dzieli nas od niego. Zwlekać niepodobna. Stokrotnem echem rozlega się też „pod pieśń" suchy, bezdymny strzał, mego wiernego „drylinga". „Finita la Comedia".

Jak snop już leży prawie u nóg moich, drugi, wspaniały egzemplarz!... W glorjach zorzy porannej szkarłatów. A ja, padam w objęcia „Mistrza-Wabiarza".

Dzięki Ci Święty Hubercie, że tacy „Meistersingerzy" żyją jeszcze na tym płaczu padole! Gdybym sam nie widział — nie uwierzyłbym nigdy. Przywabić głuszca na strzał!... Zdumiewające!...

DR STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Ułaskawianie zwierząt roślinożernych

Junius Moderatus Columella, słynny pisarz rzymski, z połowy I-go wieku po Nar. Chr. P., podaje, w jaki sposób ułaskawiać się powinno dzikie zwierzęta roślinożerne.

Byka dzikiego wprowadzić do stajni i tak krótko uwiązać, by głową ruszać nie mógł. Następnie śmiało podejść do niego i rękoma gołemi duższy czas gładzić po nozdrzach, by zapoznać się z nim i przyzwyczaić go do zapachu nowego otoczenia.

Krótka recepta Odumelli jest rzeczywiście bardzo interesującą, i nawet rozpowszechnioną.

Sparmann (zob. Brem tom XII., str. 43) podaje, że Hotentoci obłaskawiali schwytane młode hipopotany, gładząc je rękami po nozdrzach.

W niektórych wsiach u nas spostrzec możemy, że chłop, kupiwszy konia lub krowę, wprowadzając do obory, każe przekroczyć im na progu obory fartuch lub spodnie, uprzednio je tam położywszy. Twierdzą chłopi, że krowa i koń, mając przestąpić lub przejść po rozłożonych rzeczach — naprzód je silnie obwąchują a potem wszedłszy do obory, żadnego strachu nie okazują, ani nowego swego waściciela lub właścicielki się nie obawiają.

W 1851 roku, popisywał się w Budapeszcie słynny poskromiciel dzikich koni, nazwiskiem Rarey. W przeciągu kilkudziesięciu minut ułaskawiał najdzikszego rumaka na arenie cyrkowej lub w stajni. Mister Rarey dowodził, że najsłabszy zmysł konia, to wzrok. Potem następuje smak, dotyk kopytem, słuch, a najsilniejszym jest węch. Eksperyment swój wykonywał w sposób następujący.

Na środku pustej areny, gdzie miano wprowadzić dzikiego konia, położył dużą chustkę i wychodził. Za chwilę wpuszczano konia. Koń znalazłszy się na arenie, rzucał się jak opętany, okazując widoczny lęk wobec leżącego przedmiotu. Po krótszem lub dłuższem brykaniu, zdobył się nareszcie na odwagę. Przystanął zdaleka od chustki, szyję jaknajdalej wyciągnął i wchłaniał chrapami jej zapach. Widać było, że jest silnie podrażniony, ale podniecenie jego mijało, po stwierdzeniu, że przedmiot się nie rusza. Wreszcie tak się już oswoił, że kopytem dotknął chustkę, precz ją nawet odrzucił, znów silnie wąchał, aż wkońcu spokojnie po arenie się przechadzał. Moment ten pilnie obserwował Rarey i śmiałym krokiem wchodził na arenę z wyciągniętą w kierunku konia ręką. Dzikus nie uciekał, ani nie okazywał zaniepokojenia, lecz głowę w stronę ręki wyciągnął i dawał się gładzić po nozdrzach. Rarey z nozdrzy przechodził do łba, potem do karku, a wreszcie siada na niego ku zdumieniu wszystkich obecnych. Bata nigdy poskromiciel nie używał, mówiąc, że im dziksze jest zwierzę, tem mniej bić je trzeba. Sztuka Rarey'a polegała na tem, że ową czarodziejską chustkę zawsze nosił przy sobie, spał na niej — jed-

nem słowem zimpregnował ją najdokładniej swym zapachem.

Założyciel muzeum zoologicznego w Wiedniu prof. Gustaw Jäger, twórca teorji o powonieniu, w pracy swej p. t. „Odnalezienie duszy", przytacza następujący wypadek.

Razu pewnego, powiada prof. Jäger, zmuszony byłem pożyczyć sobie psa myśliwskiego do polowania na kuropatwy. Dobrego psa myśliwskiego miał w mieście przedsiębiorca dorożkarski. Udałem się do niego i znając mnie, psa chętnie mi wypożyczył. Pies znał dorożkę, znał też furmana, więc bez zbytnich nalegań do fiakra wsiadł ze mną. Założyłem mu otok i starałem się, by pies siedząc między mojemi nogami i głowę do mnie odwrócił. Starania moje jednak były daremne. Pies, jakby ostentacyjnie, odwracał się odemnie, głowę bez przerwy kierując w stronę dorożkarza. Wpadło mi wtedy na myśl, by rękę śliną zwilżyć i pogładzić nią psa po pysku. Natychmiast myśl wprowadziłem w czyn i ku memu zdziwieniu, pies w tej chwili głowę odwrócił i począł mnie pilnie obwąchiwać. Pomimo, że z faktu tego byłem bardzo zadowolony, jeszcze raz zwilżyłem śliną rękę i przez cały czas gładziłem nią psa po nosie. Wysiadłszy z fiakra, poszedem z psem w pole. Na polowaniu pies zachowywał się tak, jakby Bóg wie, jak dawno ze mną polował. Po skończonem polowaniu psa oddałem właścicielowi i miał właściciel dużo kłopotu, by psa w domu utrzymać, bo chciał za mną polecieć.

Spostrzeżenia swoje ujął prof. Jäger w słynną teorję o powonieniu. Teorję swą opiera na zasadniczej różnicy, jaka istnieje między zwierzętami silnowzrocznemi a posługującemi się węchem.

Zwierzęta obdarzone silnym, a więc bardzo subtelnym węchem, są bardzo wrażliwe na zapachy. Obcy, nieznany danemu zwierzęciu zapach, działa na niego początkowo podniecająco i dopiero po oswojeniu się z nim, podrażnienie u zwierzęcia znika.

Dla potwierdzenia teorji Jägera, podaję, że często się zdarza, iż dzikie zwierzęta młode swe zabijają, skoro węch zdradzi im, że obcy dotknął się ich dziecięcia.

Znajomy mój opowiadał mi taką historję.

Leżąc w lesie, widzi, jak przebiega obk niego samura z młodemi. Jeden prosiaczek tak blisko niego szedł, że nie oparł się pokusie i chwycił go. Ponieważ młodzik podniósł krzyk, więc znajomy mój wraz z nim szybko skoczył na drzewo. Samura na krzyk swojego synka wnet przybiegła pod drzewo i tańczyła dokoła niego, chcąc wrzeszczącego prosiaczka z opresji wydostać. Po dłuższem oblęganiu drzewa, znudzony krzykiem, puścił mój znajomy swoją zdobycz. Gdy prosiaczek znalazł się przy matce, ta go obwąchała i w oczach znajomego zabiła.

Że opowiadanie to może nie być łaciną myśliwską, potwierdza to Brehm (Tom XII., str. 371).

Dnia 22. maja 1865 r., w drezneńskim ogrodzie zoologicznym, bawolica się ocieliła. Bawół ujrzawszy młode cielę, rzucił się na nie i wziąwszy na rogi, przerzucił przez siatkę. Służba natychmiast podniosła cielę i z powrotem dała je do matki, uprzednio usunąwszy bezlitościwego ojca. Krowa zobaczywszy cielę, szybko podeszła do niego, obwąchała, a poczuwszy, że ręka obca je dotykała, podrzuciła rogami w górę a potem stratowała nogami.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwierzęta prowadzone do rzeźni, opór stawiają nie z powodu tego, że miejsce to im jest obce, ale dlatego tylko, że ich nerwy zostały podniecone zapachem krwi.



JANUSZ TRZCIENIECKI

O „dalekich" strzałach śrutem

Często słyszy się i to nawet z ust starszych myśliwych, o udatnych strzałach śrutem na odległość 100 i więcej kroków, a zatem około 80 metrów.

W wielu wypadkach jest to zwyczajna przesada w myśl przysłowia: „myśliwy bez blagi, to jak strzelba bez ładunków".

Niejednokrotnie atoli zdarza się też, że ludzie ci bądź wedle swojej najlepszej wiary, bądź też istotnie i świadomie strzelali na tak znaczne, jak na śrutowe strzały, odległości. Zachodzi tu zatem, albo złudzenie wzrokowe, albo też co gorsze, postępek niezgodny z etyką łowiecką. Szczególnie takie „dalekie" strzały zdarzają się w polu i do ptactwa a głównie kaczek na ciągu. O ile strzał poziomy w terenie da się jeszcze co do odległości sprawdzić, to odległość strzelanego ptactwa w locie skontrolowaną być normalnie nie może i jedyną wtedy miarą jest niepewne wrażenie myśliwego. Takie opowieści i przy-

kłady powodują, że inni, zwłaszcza młodzi i mniej doświadczeni myśliwi próbują także strzelać na wielkie odległości; a skutek taki, iż tylko nikły procent strzałów, przypadkowo zresztą, zwierzynę odrazu zabija a przeważnie ginie ona po wielkich męczarniach w ustroniu i na rozkładzie jej niema. Zapomina się też często przy tego rodzaju strzałach o różnicy pomiędzy strzałem poziomym a pionowym.

Obecnie w okresie polowań na kaczki, sądzę, że zainteresują Szan. Czytelników „Łowca“ wyniki doświadczeń p. F. Richtera-Sassnitza ogłoszone w czasopiśmie berlińskiem „Wild und Hund“ Nr. 7, z r. 1929, które poniżej w streszczeniu pozwalam sobie przytoczyć.

Pan Richter-Sassnitz czynił dwukrotnie próby strzelania śrutem do tarczy złożonej ze słomianek względnie arkuszy papieru. Najpierw w r. 1927 strzelał kal. 12 śrut 2½ mm na odległość 42 metrów. Wynik był następujący:

poziomo	9,6	arkuszy	przebitych	
pionowo	7,6	„	„	
pionowo	— 2,0	„	„	= ubytek 20,8 %

Śrut 3 mm na 42 metry

poziomo	18,2	arkuszy	przebitych	
pionowo	15	„	„	
pionowo	— 3,2	„	„	= ubytek 17,5 %

Poraz drugi przeprowadził ten myśliwy taką próbę w r. 1928 kal. 12 śrut 3 mm w zakładzie próbowania broni palnej w Wannse pod Berlinem.

Nie wyliczam wszystkich technicznych przygotowań do tej próby, lecz mogę zapewnić Szan. Czytelników, że wedle szczegółowego opisu p. Richtera-Sassnitza, próbę urządzono z całą właściwą Niemcom systematycznością i drobiazgowością, tak co do celności strzałów jak i pomiarów odległości. Temperatura +3 C, barometr 762 mm, w powietrzu bezwzględny spokój.

Wyniki osiągnięto jak wykazuje poniższa tabelka:

Odległość	Kierunek strzałów	Trafne śruty: w polu tarczy A	B	C	D	E	razem	Przebitych arkuszy	Zgęszczczenie
31 metrów	poziomy	38	40	34	30	26	168	18,4	1 : 3 3/4
	pionowy	35	41	33	28	24	161	16,2	1 : 3 1/2
47 metrów	poziomy	12	19	18	18	20	87	9,9	1 : 1 1/2
	pionowy	10	16	18	17	20	81	7,6	1 : 1 1/4

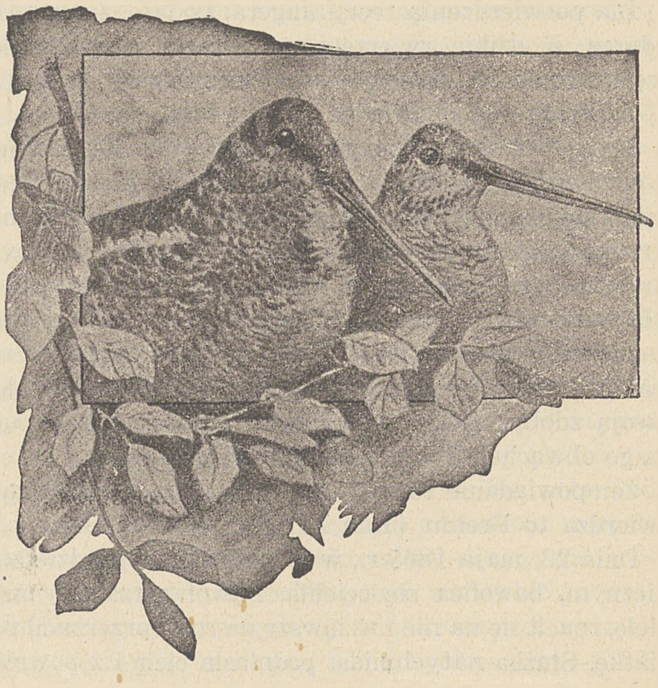
Z powyższych dat okazuje się przedewszystkiem, że w sile przebijania śrutów jest wybitna różnica pomiędzy strzałem poziomym i pionowym i to na niekorzyść tego ostatniego. Przy odległości 31 m — 12%, na 47 m — 23,2%, z czego wysnuć można, iż na odległość 50 metrów ubytek w penetracji będzie przypuszczalnie przy strzale pionowym około 26—30%. Skoro śrut 3 mm na odległość 47 metrów przebił jeszcze 7,6 arkuszy papieru, to mógłby snadnie zabić także kaczkę. Jednakowoż przeczą temu praktyczne doświadczenia. Pan Richter- Sassnitz był uparty w swojem eksperymentowaniu i podniecony głosami innych myśliwych, które w sprawie łowieckiej po ogłoszeniu jego pierwszej próby okazały się a trwały przy skuteczności „dalekich strzałów“ — nie poprzestał na strzelaniu do tarcz papierowych. W szcczególności urządził ten nieprzejednany w swojem zdaniu myśliwy, jeszcze jedną próbę strzelania do żywych kaczek-krzyżówek. Strzelał sam na odległość 47 metrów do każdej pojedyńczej kaczki, uwiązanej na sznurku 12 m długim.

Wynik takiego strzelania do 12 kaczek zgoła nieoczekiwany!

1. Jedna kaczka dostała 2 śruty w szyję i zaraz padła.
2. Druga kaczka otrzymała postrzał powierzchowny w piersi.
3. Trzecia jeden śrut w lotkę bez przebicia i jeden śrut w przednie patrochy — prawdopodobnie do zagojenia.
4. Trzy inne kaczki trafione większą ilością śrucin po całem ciele, z których cztery wnikły na 1½ cm w pierś, inne utkwiły w skórze.
5. Trzy dalsze kaczki miały razem 5 śrutów w patrochach i prawdopodobnie byłyby zginęły, chociaż po strzale nie okazywały, że są trafione w miękkie.
6. Przy trzech ostatnich kaczkach nie można było zauważyć żadnego uszkodzenia — możliwie były chybione.

Na podstawie tych prób, p. Richter-Sassnitz dochodzi do wniosku, że na odległość 45 m strzał pionowy śrutem do lotnej zwierzyny nie może uchodzić za prawidłowo-myśliwski, a mianowicie z powodu niedostatecznego krycia i procentu trafnych śrucin, oraz za słabej już siły przebijania nawet z najlepszej broni nowoczesnej.

To zapatrywanie w zupełności podzielam.



Z Oddziału Małop. Tow. Łowieckiego w Krakowie

O ochronie drobnej zwierzyny użytkowej

Uwagi poniższe skreślone są głównie pod adresem młodszej i początkującej Braci myśliwskiej.

Na dodatnie kształtowanie się gospodarki łowieckiej, a w szczególności też w mniejszych rewirach myśliwskich, składają się, jak wiadomo, głównie następujące czynniki:

odpowiedni do zwierzostanu odstrzał zwierzyny użytkowej z jednorocznemi naprzemian przerwami w poszczególnych rewirach łowiska;

systematyczne tępienie w porze dozwolonej wszelkich drapieżników i szkodników;

stały dozór nad polowaniem własny (wzgl. przez straż łowiecką) w ścisłej łączności z energicznem zwalczaniem kłusownictwa z wnykarstwem;

dokarmianie i wzmożona ochrona zwierzyny w ostrych śnieżnych zimach;

możliwe regulowanie ilościowego stosunku płci (przy odstrzale zajęcy w miarę możności oszczędzać samice);

sporadyczne zasilanie łowiska sprowadzanemi zdrowemi osobnikami w celach odświeżenia krwi, względnie hodowlanych, zwłaszcza przy upadku zwierzny użytkowej, wywołanym niewłaściwą gospodarką łowiecką, niepomyślną aurą, chorobami, elementarnemi klęskami itd., a jeżeli sprowadzenie zwierzyny nie jest możliwem, to przynajmniej —

dobrowolne przerwanie polowania na całem łowisku na rok jeden lub dłużej, przy jednoczesnem spotęgowaniu dozoru i ochrony łowiska.

Podnieść tu także należy znaczne korzyści dla łowiectwa odnoszone z lektury fachowych pism i książek łowieckich, która u nas niestety, ze względu na odczuwanie jej potrzeby u ogółu myśliwych wykazuje ciągle jeszcze bardzo wielkie luki (może ledwie jedna czwarta albo trzecia część myśliwych w Polsce pisma te czyta). Dlatego też rozszerzanie tego szczupłego koła czytelników przy życzliwem współdziałaniu Braci myśliwskiej, przedewszystkiem przez werbowanie nowych członków pod sztandar Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, byłoby nader pożądane.

Wkońcu podkreślimy tu jeszcze konieczność utrzymywania stosunku prawdziwie przyjacielskiego do ludności włościańskiej dla pozyskania i zachowania jej życzliwości dla łowiectwa, leżącej w obopólnym interesie.

To byłyby przewodnie wskazania dla dodatniej gospodarki myśliwskiej, szczególnie na obszarach z drobną zwierzyną, do której głównie zaliczamy: zająca, kuropatwę, bażanta i sarnę. U tej ostatniej wchodziłoby jeszcze w grę, poza liczebnem, także jakościowe regulowanie zwierzostanu przez prawidłowe odstrzeliwanie sztuk słabszych dla osiągnięcia możliwie dobrej i silnej budowy osobników oraz pięknego poroża. Do odstrzelenia sarn-kóz, wobec stałej ustawowej ich ochrony (art. 48 prawa łow.), potrzebnem jest osobne zezwolenie Min. Roln. wzgl. Województwa w myśl art. 51pkt. c) i ost. ust. (uprawnienie przekazano już Województwom).

Ustawa odnośnie do posiadacza polowania nie nakłada nań pod względem powyższych wskazań żadnego przymusu, pozostawiając stosowanie ich poczuciu etycznemu i racjonalno-gospodarczemu każdego z tych posiadaczy (właścicieli i dzierżawców łowisk).

Bardzo ważną pośród tych czynników rolę w utrzymaniu i podniesieniu stanu użytecznej zwierzyny łownej odgrywa systematyczne tępienie drapieżników i sporadyczne zasilanie łowiska świeżym i dobrym materjałem zarodczym. Na razie zajmiemy się nieco bliżej pierwszym z tych czynników, przy jednoczesnem uwzględnieniu dotyczących przepisów prawa łowieckiego.

Oczywiście niema tu mowy o jakiemś zupełnem wyniszczaniu drapieżników, o które zresztą ze względu na silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy drobnych drapieżników oraz ich wzmożoną siłę płodności niema obawy — lecz chodzi tu tylko o redukowanie ich ilości w stosunku do naturalnej potrzeby. Bliższe lokalne określenie tego stosunku jest coprawda trudne, bo jak z jednej strony możemy łatwiej rozeznać się w ilościowym stanie zwierzyny użytkowej, tak z drugiej nie tak łatwo orjentować się przychodzi w aktualnym stanie drapieżników. Te ostatnie bowiem, zwłaszcza czworonogi a także nocne skrzydlate, już z natury rzeczy kryją się z reguły za dnia w swoich norach, gąszczach, dziupłach i koronach drzew, kupach kamieni, drzewa, starych murach, głębokich ostępach leśnych, niedostępnych skałach itp. Na każdy jednak wypadek ilościowy stosunek drapieżników do zwierzyny użytkowej wobec dużej ich krwiożerczości i płodności nie powinien być znaczny, przyczem bierzemy już pod uwagę, że drapieżniki dokonują potrzebnej selekcji pośród zwierząt użytkowych, usuwając z nich nienadające się do rozmnoży osobniki chore i słabej budowy, oraz, że przynoszą one wielki pożytek rolnictwu przez tępienie drobnych gryzoni, licznych owadów, larw, robaków i t. p., a wreszcie dopełniają całości obrazu fauny i piękna przyrody. Gdzie zatem niektóre gatunki drapieżników są rzadkie, tam winny one być chronione i oszczędzane, a to zarówno ze względu kultury łowieckiej jak i ochrony przyrody.

Niewątpliwie sama natura regulowałaby najmądrzej stosunek między jedną i drugą kategorją zwierząt. Atoli człowiek dzisiejszy, wyposażony w doskonałą broń i amunicję a nadto przez ciągły swój postęp w gospodarce rolnej i leśnej, ścieśnia coraz więcej przyrodzone warunki dla ogólnego naturalnego rozwoju zwierzyny i psuje ten stosunek przez nieodpowiedni, częstokroć nadmierny i bezmyślny odstrzał zwierzyny użytkowej. Musi on więc w koniecznem następstwie, zwłaszcza w braku wyrównywania różnic przez odpowiednią hodowlę zwierzny użytkowej, dążyć stale do obniżania liczebnego stanu drapieżników, inaczej — szczególnie w miejscowościach sprzyjających dla pobytu i rozmnoży drapieżców — zwierzyna użytkowa stopniowo wyginęłaby.

Dok. n. *Stanisław Morawetz*

Korespondencje

Rudna, lipiec 1929

O polowaniach w Rudnej w ostatnich latach czterech

Prawo polowania w rewirze Rudna powiat Rzeszów należy obecnie do Stefana hr. Dąmbskiego. Polowanie dóbr Rudna tj. polowanie na gruntach i lasach dóbr Rudna Wielka i Rudna Mała objął p. Dąmbski z dniem 1 lutego 1925 roku — następnie zaś, nie szczędząc trudów i kosztów, zdobył stopniowo dla rewiru polowanie na gruntach włościańskich gmin Rudna Wielka, Pogwizdów, Rudna Mała, Rogoźnica i Wola Cicha — za co mu się szczególne uznanie łowieckie należy.

Młody właściciel rudneńskiego rewiru, dobry myśliwy i zamiłowany hodowca zwierzyny dokłada wszelkich starań, aby ten rewir zniszczony zupełnie w latach 1918 do 1920 uczynić na nowo prawdziwie pięknem łowiskiem. Powszechnie znaną jest rzeczą, że rudneńska straż łowiecka tępi nieubłagalnie wszelkiego rodzaju szkodniki i prowadzi ostrą i skuteczną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem — a zwierzyna łowna doznaje najtroskliwszej opieki ze strony właściciela i jego administracji, jest doskonale strzeżoną i intenzywnie żywioną. To też na każdym kroku znać w rewirze pracę nowego właściciela i mimo bardzo trudnych warunków rewir się stale podnosi. Późną jesienią 1928 roku można było stanowczo stwierdzić, że rewir Rudna posiada bardzo dużo zajęcy (pomimo wielkiej burzy gradowej w czerwcu 1928, która nie tylko w plonach ale i w zwierzostanie duże bardzo szkody zrobiła), że stan sarn stale się poprawia, że jest znowu kilkanaście dużych stad kuropatw na własnych i dzierżawionych terenach i że jest nawet trochę bażantów w rewirze.

Straszna tegoroczna zima 1928/1929, w której mrozy dochodziły tu do 42 stopni C. w polu, przyniosła z sobą ogromną dla rewiru rudneńskiego klęskę. Według moich obliczeń wyginęło tu około 15 do 20% sarn, około 25% zajęcy, 75% kuropatw, a bażanty znikły zupełnie. Zima ta była prawdziwym ciosem dla podnoszącego się rewiru. Pomimo to jednak jestem optimistą — wierzę w to niezłomnie, że rewir Rudna podniesie się szybko pod ręką właściciela, który ukochawszy go całą duszą, nie pozwoli mu zginąć i doprowadzi wreszcie do kwitnącego stanu— pod jednym oczywiście warunkiem, że stosunki się w Polsce ustalą i że łowiectwo znajdzie u Rządu Centralnego i Jego Organów należyte zrozumienie, ochronę i poparcie. Ale i pod tym względem jestem optymistą, bo wiem, że nasz zasłużony Prezes Juljusz hr. Bielski i zgrany z nim Wydział M. T. Ł. czuwają nad „sprawą łowiectwa" w Polsce.

Przechodzę do szczegółowego opisu rezultatów polowań, jakie się w rewirze Rudna w latach 1925 do 1928 odbyły — wyręczając właściciela, który skutkiem zbytniej skromności nie podzielił się nimi dotąd z czytelnikami „Łowca".

Pierwsze polowanie w Rudnej urządził hr. Dąmbski dnia 28 stycznia 1926 roku na małej części terenu, częścią w polach, częścią w lesie. Padło w siedm strzelb 62 zajęcy.

Drugie polowanie urządził w sezonie 1926/1927 a mianowicie dnia 8 stycznia 1927 roku. Polowaliśmy w dziesięć strzelb w polach w kociołki a tylko jeden miot wzięliśmy w lesie. Padło 92 zajęcy.

Trzecie polowanie urządził w Rudnej właściciel dnia 31 stycznia 1928 roku a więc na samo zakończenie sezonu 1927/1928. Wzięto kilka miotów w lesie a polowano w siedem strzelb z rezultatem 3 lisy i 26 zajęcy.

Czwarte polowanie odbyło się w Rudnej w sezonie 1928/1929 a mianowicie w dniach 8 i 9 stycznia 1929 r. Pierwszego dnia tj. 8 stycznia 1929 padło w dziesięć strzelb w polach 1 lis i 140 zajęcy. Drugiego dnia tj. 9 stycznia 1929 padło w dziesięć strzelb w lesie 2 lisy i 53 zajęcy. Razem tedy przez oba dni 3 lisy i 193 zajęcy.

Stwierdzam, że polowania w Rudnej są prowadzone wzorowo w całem łowieckiem znaczeniu tego słowa.

Z wielkiem uznaniem podnieść tu także trzeba, że oprócz kuropatw i bażantów, także i sarny cieszyły się w Rudnej w latach 1925 do 1928 zupełną ochroną właściciela i wcale na nie nie polowano.

W latach 1925 i 1926 z różnych przyczyn nie wiele ubito w Rudnej szkodników. Od roku jednak 1927 zaczęło się energiczne ich tępienie — straż łowiecka tępi w Rudnej szkodniki coraz intenzywniej i coraz bezwzględniej. Ogółem padło w Rudnej (o ile mogłem stwierdzić) w latach 1927 i 1928 szkodników sztuk 254 a mianowicie: 7 lisów, 41 kotów, 13 psów, 8 jastrzębi i 185 wron, srok i sojek, tudzież zdjęto 51 sideł.

Na zakończenie nadmienię jeszcze, że w powiecie rzeszowskim przebywają coraz liczniejsze jelenie. Jest ich także sztuk kilka i w lasach rudnieńskich.

Cześć św. Hubertowi.

Stanisław Korwin Milewski
delegat M. T. Ł.

Rudna, 1929 r.

Wspomnienia z polowań na rogacze w roku 1927

Podczas lata 1927 roku, wybrałem się w towarzystwie mego szwagra Stanisława Tyszkiewicza i kuzyna mego Kazimierza Dąmbskiego, do Ostrów Baranowskich, gdzie miałem podówczas polowanie na rogacze. Towarzyszyły nam panie Kazimierzowa Dąmbska i siostra moja Tyszkiewiczowa — z których pierwsza, jako „towarzysz myśliwy".

Dnia 10 sierpnia 1927 roku, przybyli w południe do rewiru moja siostra, mój szwagier i niżej podpisany — późno wieczór przybyć mieli państwo Dąmbscy. Niestety dnia tego od rana nie było pogody a po naszem przybyciu, rozpadał się deszcz na dobre. Było „mrocznie" i „mokro" w rewirze, skutkiem czego odleciała mnie zupełnie chęć do podchodów. Mój szwagier Tyszkiewicz, nie dał jednakże za wygraną i oświadczył stanowczo, że nie na to przyjechał z Warszawy do „lasu", aby siedzieć w le-

śniczówce — która nawiasem mówiąc, była typowym łowieckim szałasem, dającym najprymitywniejszy schron, możliwy tylko dla zapalonych i dzielnych wyznawców Św. Huberta. Nie dałem się przekonać szwagrowi — nie zatrzymując go oczywiście ani przez chwilę.

W leśniczówce pozostałem z moją siostrą i czekając na państwa Dąmbskich, gwarzyliśmy i rozpakowywali toboły — szwagier mój zaś z leśnym Michałem, udał się bezzwłocznie do lasu. Św. Hubert pobłogosławił mu, bo za dwie godziny wrócił na leśniczówkę przemoczony do nitki, ale z pięknym szóstakiem — który w paradzie „wjechał" za nim do izby na plecach leśnego Michała. Szwagier mój mimo tuszu jaki dostał, był niesłychanie rozanimowany polowaniem, opowiadał o swych przeżyciach łowieckich ostatnich godzin z zapałem i z ust jego dowiedzieliśmy się wtedy, że na podchodzie w przeciągu kilku sekund, strzelał z tego samego miejsca do dwóch silnych szóstaków w gęstym, młodym lesie — z których jednego podniósł — drugiego zaś skutkiem zapadającego zmroku i gwałtownej ulewy nie mógł w gąszczu odszukać, jest jednak mocno przekonany że kozioł „będzie" — bo strzelał spokojnie i jest pewny swojej kuli.

Wkrótce potem przyjechali państwo Dąmbscy zmoknięci ale weseli i pełni łowieckiej fantazji; pogadanka wieczorna przeciągnęła się długo — bo jak tu długo nie gwarzyć, gdy się ma wśród lasów w zapadłej leśniówce towarzystwo miłych, młodych a rozmownych pań.

Z brzaskiem dnia 11 sierpnia 1927, wyruszyliśmy wszyscy w drogę z leśniówki w cztery strony rewiru. Aura była ciągle jeszcze fatalna, padał drobny przykry deszcz, powietrze było zimne. Polowanie tego ranka nie dało rezultatu, sarn widzieliśmy dużo, ale w ustawicznym ruchu, lunety i szkła nam zamakały — do strzału nikt z nas nie doszedł. Gdy wróciliśmy około godziny 8 rano na leśniówkę, deszcz się rozpadał na dobre i zdawało się, że cały rewir, leśniówka i cała nasza wyprawa zginie w potokach ulewy. Pod wieczór jednakże wypogodziło się znacznie, deszcz padał coraz to mniejszy, było jaśniej w lesie a barometr zapowiadał pogodę.

Wieczorem deszcz całkiem przestał padać, a my rozeszliśmy się znowu na cztery strony podchodzić. Tym razem Święty nasz Patron był dla pani Ady Dąmbskiej łaskawy — ubiła bowiem w bardzo trudnych warunkach po męczącym podchodzie na otwartym zrębie, późno wieczór, bardzo ładnego szóstaka. Po tym podchodzie musiała niestety nas opuścić, udając się, o ile pomnę, na rekolekcje, gdzie musiała chyba bardzo się kajać, że jest taką „krwiożerczą".

Dzień 12. sierpnia 1927, był dniem typowo letnim, ciepłym i pogodnym, ale nie przyniósł nam żadnego rezultatu, nikt z nas nic godniejszego nie widział dnia tego w lesie, a tylko spotkaliśmy kilka zdziwionych kóz i śmiesznych śpiczaków.

Za to ostatni dzień polowania 13. sierpnia 1927, na złość fatalnej trzynastce, przyniósł nam z brzaskiem dnia dwa tęgie szóstaki, z których jednego ubił mój szwagier Tyszkiewicz, drugiego niżej podpisany. Gdy po długiem a mozolnem poszukiwaniu, odnaleziony został i drugi szóstak mego szwagra, ubity przez niego prawie w dublecie na wieczornym podchodzie dnia 10. sierpnia 1927 r., z modlitwą dziękczynną na cześć naszego Patrona św. Huberta i z łowiecką radością w sercu opuściliśmy rewir Ostrowy.

W tym to rewirze ubiłem jeszcze jednego dobrego szóstaka jesienią 1927 r. *Stanisław Korwin-Milewski*
delegat M. T. Ł.

Sierpień 1929 r.

Przyczynek do historji myszołowa włochatego

Przyczynek do historji myszołowa wochatego

Jak ogólnie wiadomo, jest dla nas myszołów włochaty ptakiem wybitnie zimowym. Zjawia się u nas z końcem października, wyjątkowo cokolwiek wcześniej, by z końcem marca lub w pierwszych dniach kwietnia, rozpocząć odwrót ku swej północnej ojczyźnie.

To też niemało byłem zdziwiony, spostrzegłszy dziś 18. sierpnia b. r. w Pantalowicach w powiecie przeworskim parę (dwa) myszołowów włochatych, krążących w niewielkiej odległości nademną. Pomyłka wobec mojej znajomości przedmiotu i obecności ciemnej pręgi na jasnym ogonie, jak niemniej ciemnych jabłkowatych plam u zgjęć skrzydłowych oglądanych z pod spodu; jest stanowczo wykluczoną — tembardziej, że myszołowy te obserwowałem przez doskonałe szkła.

Jesień obecna odznacza się teraz obfitością myszy, rokującą dalszą ich rozmnożę i zagrażającą jesiennym zasiewom. Czyżby myszołowy przeczuły tę obfitość żeru dla siebie i już tak wcześnie zajęły zimowe posterunki?

Wobec wielkiej pożyteczności tych ptaków nie można dosyć gorąco polecić Braci myśliwej ich ochronę.

A. Przedrzymirski

Nieżuchów, dnia 11 sierpnia 1929 r.

Dnia 4. sierpnia b. r. odbyło się w Łukawicy niżnej poświęcenie i otwarcie instytucji pod firmą „Małopolska Hodowla Zwierzyny", połączonej z fachowo prowadzoną szkołą dla personalu łowieckiego. Przedsiębiorstwo to, powstało dzięki ofiarnej inicjatywie właścicieli Łukawicy pp. E. i T. Barańskich — jest jedną z pierwszych imprez tego rodzaju w Polsce i ma na celu dostarczanie hodowcom dla odświeżania krwi i rozmnoży, żywej zwierzyny (zajęcy, bażantów i kuropatw). Zwierzyna ta importowana była dotychczas prawie wyłącznie z zagranicy, po bardzo wysokich cenach — dla wielu hodowców często niedostępnych. Nowo otwarta natomiast i prowadzona przez siły fachowe szkoła dla personalu łowieckiego — ma za zadanie pokrycie zapotrzebowania na pewny, wyszkolony personal łowiecki, którego brak aż nazbyt często odczuwać się dawał.

Wierzę, że obie te instytucje chlubnie spełniać potrafią swe zadanie, przyczyniając się wybitnie do podniesienia naszych zwierzostanów i pracując intenzywnie ku chwale polskiego łowiectwa — czego ich dzielnym Założycielom z całego serca życzyć należy.

Andrzej Onyszkiewicz
delegat M. T. Ł.

Wystawa Łowiecka w Poznaniu
Wykaz nagród

1. S t a n i s ł a w Z a b o r o w s k i: Złota tarcza za kolekcję niedźwiedzi; 1 medal srebrny za bawołu afrykańskiego.

2. K a z i m i e r z G o z i m i r s k i: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za 2 pary rożków sarnich; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za dzika; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

3. J ó z e f P l e c i ń s k i: 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich.

4. A n d r z e j J a k u b o w i c z: Tarcza złota za żbika; 1 medal bronzowy za kolekcję szabel dziczych; 1 medal srebrny za szable dzicze; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

5. F e l i k s R ó ż y ń s k i: 1 medal srebrny za kolekcję szabel dziczych; 1 medal srebrny za szable dzicze; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

6. H i e r o n i m hr. T a r n o w s k i: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 4 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal duży srebrny P. W. K. za cały zbiór.

7. J a n P ę t k o w s k i: Tarcza złota nr. I. za najlepszy wieniec jelenia Kres. Zach.; 1 tarcza złota za głowę dzika; 1 medal bronzowy za czaszkę dzika; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 2 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal srebrny za sokoła; 1 medal srebrny za kolekcję skór lamparcich; 1 mały złoty medal P. W. K. za zbiór fotografij.

8. Ppłk. rez. K o n s t a n t y C h ł a p o w s k i: Złoty puhar za najlepszą kolekcję wieńców jeleni Kr. Zachodn.; złota tarcza nr. II. za wieniec jelenia Kresów Zachodnich; 3 medale srebrne za wieńce jeleni Kresów Zachodnich; 4 medale bronzowe za wieńce jeleni Kresów Zachodnich; złota tarcza za głowę dzika; złota tarcza za kolekcję rożków sarnich; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 5 bronzowych za rożki sarnie; 1 medal duży srebrny P. W. K. za cały zbiór; 1 medal złoty Wielkopolskiej Izby Rolniczej za hodowlę.

9. S t a n i s ł a w K a u s s: 2 medale srebrne za wieńce jeleni.

10. M i e c z y s ł a w C h ł a p o w s k i: 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; tarcza złota za wieniec jelenia karpackiego; 1 medal bronzowy za łopaty łosia; 1 medal bronzowy za niedźwiedzia.

11. L u d w i k G r o m c z a k i e w i c z: medal srebrny za kolekcję wieńców jeleni.

12. S t e f a n hr. S u m i ń s k i: Tarcza złota Nr. I. za najlepszy wieniec jelenia Małopolski; 1 medal srebrny za łopaty łosia; 1 medal bronzowy za kolekcję anormalnych rożków sarnich.

13. M i c h a ł K s i ą ż ę R a d z i w i ł ł: Złota tarcza za kolekcję wieńców jeleni; złota tarcza za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za głowę dzika.

14. W ł o d z i m i e r z W a l e r y i E u s t a c h y B a r a ń s c y: Tarcza złota za kolekcję wieńców jeleni karpackich; 2 medale srebrne za wieńce jeleni; 2 medale bronzowe za wieńce jeleni; tarcza złota nr. III. za szable dzicze; 1 medal srebrny za kolekcję szabel dziczych; 1 medal srebrny za głowę niedźwiedzia; 2 medale bronzowe za wilki; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal srebrny za dwa rysie; 1 medal mały złoty P. W. K. za cały zbiór.

15. Z d z i s ł a w hr. T a r n o w s k i: Puhar złoty za kolekcję wieńców jeleni Małopolski; złota tarcza nr. II. za wieniec jelenia Małopolski; złota tarcza nr. III. za wieniec jelenia Maopolski; złota tarcza za wieniec jelenia Małopolski; 5 medali srebrnych za wieńce jeleni Małopolski; tarcza złota za wieniec jelenia karpackiego; 1 medal srebrny za wieniec jelenia karpackiego; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 4 medale bronzowe za rożki sarnie; złota tarcza za kolekcję szabel dziczych; 3 medale srebrne za szable dzicze; 2 medale bronzowe za szable dzicze; 1 medal bronzowy za kolekcję czaszek dziczych; 2 medale srebrne za wilki; 1 medal duży złoty P. W. K. za cały zbiór.

16. J u l j u s z hr. B i e l s k i: 1 tarcza złota za skórę żbika; 2 tarcze złote za 2 wieńce jelenie; rożki sarnie St. hr. Mycielskiego, rekord światowy, hors concours.

17. J a n D e m b i ń s k i: Puhar złoty za kolekcję wieńców jeleni Polski środkowej; złota tarcza nr. I. za wieniec jelenia Polski środkowej; złota tarcza nr. II. za wieniec jelenia Polski środkowej; 3 medale srebrne za wieńce jeleni Polski środkowej; 1 medal mały złoty P. W. K. za cały zbiór.

18. N a d l e ś n. T a d e u s z M e t z i g: 1 medal srebrny za kolekcję wieńców jeleni Kresów Zachodn.; 2 medale srebrne za wieńce jeleni; 2 medale bronzowe za wieńce jeleni; 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal mały srebrny P. W. K. za hodowle.

19. O r d y n a t J a n T a c z a n o w s k i: 1 medal srebrny za wieniec jelenia karpackiego; 3 medale bronzowe za wieńce jeleni ubitych zagranicą; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

20. P l e s z e w s k i e K o ł o M y ś l i w s k i e: 1 medal bronzowy za kolekcję rożków sarnich; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

21. K s i ą ż ę O l g i e r d C z a r t o r y s k i: Złota tarcza za wieniec jelenia karpackiego; 1 medal srebrny za

łopaty daniela; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 4 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

22. Dyrekcja Lasów i Dóbr Bar. Groedlów: Złoty puhar za kolekcję wieńców jeleni karpackich; złota tarcza nr. I. za wieniec jelenia karpackiego; złota tarcza nr. III. za wieniec jelenia karpackiego; 3 złote tarcze za wieńce jeleni karpackich; 2 medale bronzowe za wieńce jeleni karpackich; 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 3 medale srebrne za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za kolekcję orłów; 1 medal bronzowy za rysia; 1 medal bronzowy za żbika; 1 medal srebrny za kolekcję skór niedźwiedzi, wilków i rysi; 1 medal srebrny za czarne wilki; złota tarcza za kolekcję głów i szabel dziczych; 1 medal srebrny za głowę dzika; 1 medal bronzowy za głowę dzika; 1 medal srebrny za szable dzicze; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal duży złoty P. W. K. za cały zbiór.

23. Zygmunt Glinka: Złota tarcza za kolekcję rożków sarnich; złota tarcza nr. II. za rożki sarnie; 6 medali srebrnych za rożki sarnie; 1 medal srebrny Wielkopolskiej Izby Rolniczej za hodowlę.

24. Marja Ludwika z Komorowskich Andrzejowa Koźmianowa: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

25. Marja hr. Szembekowa: Złota tarcza nr. II. za wieniec jelenia karpackiego; 2 medale srebrne za rożki sarnie; 3 medale bronzowe za rożki sarnie; 1 medal bronzowy P. W. K. za cały zbiór.

26. Dr. Jan Łukowicz: 1 medal srebrny za wieniec jelenia; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie; 1 list pochwalny Wielkopolskiej Izby Rolniczej za pochwały i naśladowania godne spreparowanie trofeów z pozębiem.

27. Zbigniew Dzierżykray - Morawski: Złota tarcza za wieniec jelenia; 1 medal bronzowy za łopaty daniela.

28. Aleksander Krawiec: 3 medale srebrne za rożki sarnie; 10 medali bronzowych za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za anormalne rożki sarnie; 1 medal srebrny za szeble dzicze (właść. Hoffmann); 1 list pochwalny P. W. K. za cały zbiór.

29. Waldemar Doria-Dernałowicz: 1 medal bronzowy za szable dzicze; 1 medal srebrny za rożki sarnie; 1 medal bronzowy za rożki sarnie.

30. Krystyna hr. Mielżyńska: 1 medal srebrny za kolekcję rożków sarnich; 1 medal mały srebrny P. W. K. za cały zbiór.

31. Stanisław Minga: 1 medal srebrny za rożki sarnie.

32. Karol Gruiński: 1 medal bronzowy za rożki sarnie.

33. Władysław Kościelski: 1 medal bronzowy za rożki sarnie. Dok. n.



Sprawy Towarzystwa

Uchwałą Walnego Zgromadzenia M. T. Ł. z dnia 21 czerwca b. r. została wkładka dla członków ustaloną na 9 zł. kwartalnie z ważnością od 1 lipca b. r.



Komunikaty

STAN CZASU OCHRONNEGO

dla jeleni, rogaczy, zajęcy i kuropatw w województwach lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem.

Na podstawie rozporządzeń Urzędów wojewódzkich: lwowskiego z 26 IV b. r. L.: 18 łow. i z 6 VIII b. r. L.: R. L. 50 łow., stanisławowskiego z 26 IV b. r. L.: R. W. 1253 łow. i z 7 VIII b. r. L.: A. D. 3856 Po., oraz tarnopolskiego z 25 IV b. r. L.: A. D. 4174, obowiązuje na całym obszarze tych województw następujące rozszerzenie czasu ochronnego **poza normalny czas ochronny przepisany artykułem 49 rozp. o prawie łowieckiem:**

Województwo	Dla jeleni	Dla rogaczy	Dla zajęcy	Dla kuropatw
Lwowskie	od 10 do 31 października b. r.	od 26 kwietnia b. r. do 31 stycznia 1930 r.	od 1 października do 15 listopada b. r.	od 1 września do 30 listopada b. r.
Stanisławowskie	od 10 do 31 października b. r.	od 21 kwietnia do 1 czerwca b. r.	od 1 października do 15 listopada b. r.	od 1 września do 30 listopada b. r.
Tarnopolskie		od 21 kwietnia do 1 czerwca b. r.	od 15 października do 1 grudnia b. r.	

Zaznacza się, że powyższe zestawienie nie obejmuje dalej idących rozszerzeń czasu ochronnego, dotyczących poszczególnych powiatów lub ich części.

Odezwa Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich

Pomimo tego, że dwa już lata bezmała obowiązuje ustawa o prawie łowieckiem z dnia 3/XII. 1927 roku, ustalająca terminy ochronne na zwierzynę łowną (art. 49), pomimotego, że wydawane są przez Ministerjum Rolnictwa i władze wojewódzkie odnośne zarządzenia,

w handlu spotyka się zwierzynę łowną w czasie ochronnym. Ustawa weszła w życie tylko w stosunku do prawidłowych myśliwych, kłusownicy bowiem i wnykarze wcale się do niej nie stosują. Jest to objaw bynajmniej nie dodatni.

Prawo łowieckie przewiduje dość wysokie kary za tego rodzaju przestępstwa, nakazuje nawet organom wykonawczym nakładanie kar administracyjnych za kłusownictwo i wnykarstwo.

Niewątpliwie skutek byłby bardziej widoczny, gdyby właściciele restauracyj, kupcy i handlarze zwierzyną szli na rękę władzom bezpieczeństwa w tym względzie i nie nabywali zwierzyny z rąk kłusowników i w czasie ochronnym. Niestety, odczuć się daje brak zrozumienia doniosłości znaczenia czasów ochronnych dla łowiectwa, a tem samem dla gospodarstwa krajowego, którego ważką część stanowi łowiectwo racjonalnie ujęte. Nie odgrywa snać roli i obawa kar za nielegalny handel zwierzyną, skoro w oknach wystawowych sklepów nawet pierwszorzędnych, których firm narazie nie wymieniamy, a także i w jadłospisach pierwszorzędnych restauracyj można zobaczyć np. w końcu czerwca dzikie kaczki, albo w sierpniu kuropatwy, jak to stwierdzono przed kilku dniami, chociaż w roku bieżącym czas ochronny na kuropatwy przedłużono do dnia 6 września.

Apelujemy tą drogą do PP. Właścicieli restauracyj i sklepów kolonjalnych, aby zechcieli w przyszłości baczyć na terminy ochronne, określone ustawą z dnia 3-go grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem, aby nie nabywali zwierzyny, bitej nielegalnie w czasie zakazanym, aby wreszcie nielegalnych handlarzy oddawali w ręce władz.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32